

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

sierpień 2006 r.

Nr 8 (41)



1. Z KART PRZESZŁOŚCI

– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej

2. ZE WSPOMNIENÍ

– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień

3. Z DZIEJÓW KONINA

– artykuły o treściach historycznych, archiwalia

4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA

– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta

5. NASZYM ZDANIEM

– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta

6. INSPIRACJE KULTURALNE

– poezja, proza, rysunek konińskich twórców

7. Z ŻYCIA TPK

– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań

8. BARWY CODZIENNOŚCI

– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście

9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



Drodzy, opaleni, wypoczęci, gotowi do pracy i nauki Czytelnicy!

Nie przypuszczałem w najśmielszych marzeniach, że w okresie kaniuku uaktywnią się w „Koninianach” nowi redaktorzy, a w związku z tym może i nowi czytelnicy (w końcu każdy piszący ma grono znajomych). Radość tym większa, że poszerza się znacząco spektrum naszych zainteresowań. Trochę się powtarzamy, ale musimy odpowiedzieć „nowym”. Nie jesteśmy par excellence pismem historycznym. U nas pisać (tak jak śpiewać) „każdy może”. Historie własne lub zasłyszane, opowieści różne, byle trochę związane oczywiście z naszym miastem. Onegdaj ogłosiliśmy konkurs na wspomnienia naszych „nowokoninian” – czy-

li jak się tutaj czują, co się im w naszym mieście podoba, a co chcieliby zmienić? Jednym słowem klasyczny cicer cum caule (czyli słowny groch z kapustą) – jak mawiał i pisał Tuwim. Więc „do piór bądź długopisów” – redakcja „Koninianów” na Was czeka i liczy na nową, zdrową krew. Podobno mieszanie krwi daje najlepsze okazy, nawet literackie. Dlatego najserdeczniej witam „na pokładzie” Ankę Kuznowicz, Włodka Łasińskiego oraz panią Irenę Szałek.

Anka opisuje tragiczne losy Przemka Malarza – znaleźliśmy nieodżałowaną pamięć Przemka, ale nie mieliśmy tak dokładnego pojęcia o jego martyrologii. Dziękujemy Aniu za przypomnienie jego sylwetki. Myślę, że miło będzie Basi, Jego żonie, znajdującej się daleko od Ojczyzny, że pamiętamy tutaj o Przemku.

Włodek Łasiński zaskakuje nas ciekawym zdjęciem sprzed ponad stu lat, prawdziwy biały kruk w fotografii oraz „kawal” naprawdę ciekawej historii obyczajowej.

Janusz Gulczyński wyszperał tym razem (chyba nie na złość Piotrowi) ciekawe zapiski mistrza Iwaszkiewicza o naszym mieście i jego „śmieszonym ratusiku”?!?

Nie polecam artykułu Włodki Kowalczykiewicz (młodszej) przed kolacją, bo nie poradzimy sobie z napływającą ślinką na te legendarne już tylko smakołyki.

Okazuje się, że chleb to proza, ale poetycka – zwłaszcza z wiejskim mąsem.

Natomiast Janek Sznajder swoim spacerem (też z wnukiem) „załatwia” bez mała cały Stary Konin, ale na szczęście jego licznie rozgałę-

ziona rodzina pozostawiła parę ulic na „spacerek” dla Marysi Cieślak. Udało się również Mirce Dimitrow – odnalazła jeszcze jedno uroczę podwóreczko, ale nastawiło ją to bardzo nostalgicznie, tak to już bywa z artystami – im szybciej potrzebny remont, tym z reguły obiekt jest bardziej uroczy.

Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) dzieli się z nami wspomnieniami z wędrówek wodniackich – jest zresztą instruktorem Polskiego Związku Kajakowego. Myślę, że sam Kolomb miałby problemy, gdyby zaczęli porównywać zaliczone mile. Piotr Rybczyński w dalszym ciągu „jeździ” po rondzie Ducha Świętego, pozostanie tam do III odcinka.

Zmęczony nieco upałami, ale jak zwykle z serdecznymi pozdrowieniami
Stanisław Sroczyński



Iwaszkiewicz o Koninie

O słynnych pobytach Jarosława Iwaszkiewicza w Koninie w pierwszych latach po wojnie pisano w lokalnej publicystyce raczej zdawkowo. Głównie przypomniano postać pisarza w kontekście najróżniejszych tekstów poświęconych Zofii Urbanowskiej. Na przykład Iwaszkiewicz z sentymentem wspominał „Gucia zaczarowanego”, pierwszą książkę, którą samodzielnie, jako mały chłopiec na Ukrainie, przeczytał. Barwne wyimki poświęcone Koninowi znalazły się przede wszystkim w książce „Podróże do Polski”. Jest tam zamieszczonych kilka wzruszających słownych obrazków. Na przykład opisany odcinek drogi pomiędzy Koninem a Kołem, przepiękna panorama pradoliny Warty, której pisarz nie umiał się oprzeć, i zawsze przejeżdżając tamtędy, choć na chwilę wychodził z auta, aby zrobić kilka kroków.

„Podróże do Polski” są dostatecznie znane. Ale mnie wpadła, jakiś czas temu zupełnie inna książka, dotąd nie zauważona na gruncie konińskim. Chodzi o pracę zatytułowaną „Notatki 1939-1945”, wydaną drukiem we Wrocławiu w 1991 r., w której zamieszczono rozdział „Wianki w Koninie”, z datą 25 czerwca 1945 r. Czytałem tę barwną książeczkę ze wzruszeniem. Stawało mi przed oczami miasto w pierwszym okresie po wojnie. Od dawna mam zwyczaj czytając i „studiując” różne prace związane z Koninem i regionem, trzymać

w ręce ołówki i robić wypisy. Także i przy „Notatkach 1939-1945” zaznaczyłem kilka co ciekawszych wyimków, które obecnie przepisuję i podaję do przesłania Czytelnikom.

Konin to małe miasteczko – pisał w czerwcu 1945 r. Iwaszkiewicz – schludne i ciche. Z przeszlicznym parkiem, pełnym starych dębów w pobliżu rzeki, i kształtnym rynkiem, piękną farą, stawianą przez Kazimierza Wielkiego [? – J.G.] i zabawnym ratusikiem. Na tym ratuszu skacze herbowy rumak Konina. A dołem białe kolumny przypominają operową dekorację. Konin ma swoje tradycje literackie...” – Dalej przytacza Iwaszkiewicz znane już sprawy związane z Urbanowską. Poznał Konin, występując tu na spotkaniu literackim, zaproszony przez znanego nauczyciela, społecznika i animatora ówczesnego życia kulturalnego – Ludwika Mikusińskiego. Przebywając w Koninie przez kilka dni, a potem co jakiś czas tutaj wracając, zdążył poznać miasto wzdłuż i wszerz, z ręką Wartą, zabytkami, zapoznać i zaprzyjaźnić się z wieloma ludźmi.

Oto co mówił do L. Mikusińskiego:

– „Wie pan [...] jedną z najprzyjemniejszych rzeczy na tym świecie jest odwiedzanie prowincjonalnych miasteczek. Zawsze to lubilem. Nigdzie się nie widzi tak na gorąco, na żywo, pracy ludzkiej, organizowania się, tworzenia. Wszystko tu jest brane na serio, bez wielkomięjskich żarcików, jak należy. Patrzę, na przykład na was, na nauczycielstwo, jak wy pracujecie. Szkoła składa się z gimna-

zum normalnego i kursów dla dorosłych, które zajmują całe popołudnie, nauczyciele pracują od ósmej rano do ósmej wieczorem [...]. I jeszcze prowadzą swoje roboty niezadawkowo, wszystkiego im jest mało. Organizują świetlice, kółko literackie, samorząd szkolny [...].

A młodzież? Są między nimi tacy, którzy pracują zarobkowo od rana do pierwszej, o drugiej przychodzą do szkoły i siedzą w niej do ósmej wieczorem, lekcje odrabiają w nocy i im to też nie wystarcza, jeszcze organizują poranki literackie, piszą wiersze, nowele [...] należą do harcerstwa, czytają referaty na najróżniejsze tematy [...], śpiewają, grają, są pełni zapału dla skromnych przedstawicieli literatury, którzy ich odwiedzają... bardzo mi się podoba ta młodzież.

A inni? Najpiękniejsze panie Konina nie tylko mają sklepiki z artystycznymi wyrobami, rękawiczkami, torebkami, ale malują bardzo ładne afisze, zajmują się kulturą plastyczną, reżyserują przedstawienia dla dzieci [...].

Widzi pan, to są pociechy prowincji. Są także inne strony, wszyscy jesteśmy ludźmi, ale tutaj się widzi, jak się tworzy nowy, naprawdę wspaniały świat, to są sprawy, dla których zawsze warto przyjechać do małych osad, to są owe drobne wianki, które widać prawdziwie pracownicy, aby z nich mógł powstać wielki wieniec polski...”

Naprawdę, piękne i wartościowe to słowa, wypowiedziane i napisane pod adresem mieszkańców naszego miasta.

W zakończeniu jeszcze jeden, nieco dłuższy cytat, poświęcony Warcie i wiankom odbywanym w noc świętojańską:

„Wczoraj puszczano wieńce na Warcie. Warta jest jedną z najpiękniejszych rzek polskich, ma wdzięk kobiety. Przypomina ją nieco Pilica – też pełna gracji – ale Pilica to blondynka, Warta – brunetka. Ciemnawe jej wody, pokryte nalotem różowych chmurek zachodu, przepływają dość warko na przystani konińskiej [...].

Ściemnia się, megafony podają program uroczystości, wszystko idzie składnie... Napływają łodzie strojne w lampiony, fantastycznie „zamaskowane”. Wyobrażam sobie, ile pracy i przygotowań kosztowała ta defilada! Ogólny podziw wzbudza łódź-lokomotywa kolejarzy, wenecka gondola lampion z napisem „Społem”! Wśród rakiet i blasku pochodni zajeżdża olbrzymia tratwa jak delfin prychająca wodą. Ognie za zasłoną kaskad błyszczą tajemniczo, a zebrane na tratwie harcerstwo rozpoczyna pieśni i tańce [...].

Z drugiej strony miasteczka wstaje błada pełnia księżyca. Wieńce po wodzie rozplywają się, jakiś pies goni je i przynosi na brzeg ku niesłychanej uciezce zebranych. Na moście, na przystani, wszędzie radość, okrzyki, race...Potem cichną odgłosy [...].

Janusz Gulczyński

UWAGA !!!

Przypominamy o konkursie poetyckim „Milowego Słupa”. Regulamin w internecie: www.koniniana.netstrefa.com.pl



Spacer z wnukiem

W starych wiejskich domach, w podmiejskich willach, zasiedziały od pokoleń, wędrują niestannie duchy przodków. Snują się rodzinne legendy. Krzesła pamiętają ciężar pradziadków. Ten sam obraz od wieku wisi na ścianie. W tym pokoiku zmarła babka...Inne jest miasto. Tu pamięć pokoleń sięga mieszkań wynajętych, przeprowadzek, zmian ulic i domów.

Z moim młodszym wnukiem Karolem wybrałem się w podróż po rodzinnym Koninie. Pójdziemy śladami przodków – razem odtworzymy naszą historię.

Stoimy przed dworkiem Urbanowskiej, notabene fatalnie zrekonstruowanym. Opowiadam Karolowi – twój praprapradziadek (sic!), też Karol, był pracownikiem Kaliskiego Trybunału. Gdy w Kaliszu podjęto remont budynku, pracowników rozlokowano w miastach guberni. Karolowi przypadł Sąd Grodzki w Koninie. Przydzielono mu kwatery na pięterku dworku. Pan Urbanowski dzierżawił wówczas dworek różnym podnajemcom. Na parterze mieściło się biuro naczelnika carskiej akcyzy. Później pracował tam twój prapradziadek Emil.

Przejdźmy całą ulicę Urbanowskiej! W owych czasach nazywała się ul. Piwną. Po prawej stronie, zaraz za kinem, mieścił się Urząd Skarbowy, rosyjskie Kaznaczejstwo. Budynek pilnował uzbrojony carski żołnierz, a przechodnie byli zobowiązani przechodzić drugą stroną ulicy. Następny dom był własnością bogatego Żyda, Kapłana. Na piętrze, z żeliwnym balkonem, mieszkała rodzina Emila. Sąd w 1914 r. zostali ewakuowani w głąb Rosji.

Pójdźmy teraz na ul. Wodną, była

to wtedy ulica graniczna miasta. Rejon ulicy Grunwaldzkiej zajmowały małe ogródki. Za nimi, po horyzont rozciągały się łąki, tworząc wiosną olbrzymie rozlewiska wodne, a zimą tafle lodu. W miejscu obecnego (małego) parkingu stały zabudowania pensji dla dziewcząt pani Komornickiej. Właśnie stamtąd, z oficyny od strony podwórza, przenieśli się twoi prapradziadowie na ulicę Piwną. W pobliżu dawnej pensji stoi jeszcze dworek pań Miłkowskich, krewnych pisarza Tomasza Jeża Miłkowskiego.

Z ulicy Wodnej krok do Placu Wolności, czyli dawniejszego Rynku Pierwszego (drugim był Rynek Garncarski, dziś Plac Zamkowy). Na Rynku, co niedziela, grała wojskowa orkiestra stacjonujących w mieście rosyjskich dragonów. We wschodniej pierzei Rynku, w domu o bogato zdobionej fasadzie, urodził się twój prapradziadek Włodzimierz. Na parterze, twoje ciocięce prababki prowadziły przed I wojną, modną w tych latach herbaciarnię, odpowiednik dzisiejszych kawiarni. Obok tego domu przycupnął mały domek Frasunkiewiczów. Już go nie ma. Stoi tu niedawno wybudowany dom, nawiązujący stylem do obecnej zabudowy. W domu Frasunkiewiczów dożywał swoich dni emerytowany pracownik Sądu, który zapoczątkował w 1875 r. naszą konińską historię.

Idziemy dalej! Dom Zemełki – czteroklasowa Szkoła Handlowa, do której uczęszczał mały Włodek. Ulica Staszica, dawniej Łąkowa, dom Essowej – tu mieścił się Sąd Grodzki, w którym pracował praprapradziadek Karol. Po przekątnej, na rogu Staszica i Krzywiej, znajdował się Urząd Pocztowy. Tu z kolei twój drugi praprapradziadek, emerytowany poczmistrz, Jan Wasyliwicz Demczuk nie potrafił odwyknąć od dawnej pracy, więc bezinteresownie pomagał młodszym

kolegom.

Po śmierci Emila jego żona, a twoja praprababka Ludmiła, zamieszkała w domu p. Essowej. Wyobraź sobie małego chłopca, uganiającego po piętrowych, drewnianych kruzgankach, które okalały cały dziedziniec budynku. To ja, twój dziadek, spędzałem wakacje u babci Lili. Potem babka przeniosła się na ulicę Żwirki i Wigury, do domu stolarza Milbrandta. Zajmowała całe piętro. Na dole mieszkała jedna z ciotek, a p. Milbrandt ze swoim warsztatem mieścił się w dwóch „ciupkach” na parterze. Dzisiaj w tym domu jest sklep „Charty Polskiej”. Pamiętam, był to ostatni dom przy tej ulicy. Dalej, aż po Wał Tarejwy, były tylko pastwiska i ugory. Tam właśnie rozbijał swoje namioty przyjezdny cyrk. Moja mama, a twoja prababcia Marysia, była nauczycielką w Łądku. Na wakacje przyjeżdżaliśmy do babci Lili. Chodziliśmy do parku. Za ogrodzeniem domku parkowego witała mnie zawsze oswojona sarenka o imieniu Kubuś.

Potem nastąpiła wojna.

Chciałem cię jeszcze zaprowadzić na ulicę Kolską. Za bramą Rektyfikacji jest budynek, w którym urzędował i mieszkał z rodziną komisarz akcyzy, twój prapradziadek Emil. Obok Rektyfikacji stoi budynek, w którym obecnie mieści się szkoła zawodowa, a przed nią, długie lata, siedziba Powiatowego Sądu. Wcześniej było tam Gimnazjum żeńskie, gdzie chodziła twoja prababcia Marysia. W bok od ul. Kolskiej, przy ul. Reformackiej, w nieistniejącym już domu p. Krzemieńskiego, w małym pokoiku na stryszku, w dziecięcym wózek spalo niemowlę o imieniu Jurk. To twój tato.

Tyle chciałem ci pokazać, to był spacer sięgający w czasie ponad sto lat.

Jan Sznajder



Spacerek ulicą Wiosny Ludów

Przygotowując się do kolejnego spaceru z Wojtusiem porządkowałam swoje wiadomości o Koninie. Bardzo chciałam przekazać mu tym razem jak najwięcej informacji o ulicy, przy której upłynęło moje wczesne dzieciństwo. Trochę faktów ulotniło się bezpowrotnie, przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy już nawet nie pomagała lecytyna, wykonałam tylko jeden telefon do mojej przyjaciółki Ewony Kupińskiej i pojawiły się na nowo sceny z dzieciństwa.

Moja ulica nazywała się wtedy 11 Listopada, a kiedyś jeszcze dawniej nosiła nazwy: Zielona, Boczna. Znajdują się przy niej duże kamienice dwu i trzypiętrowe, a także domy jednopiętrowe i parterowe z mansardami. Dzisiaj niektóre budynki są mocno zniszczone, ale dawniej każdy dom posiadał piękne balkony albo chociaż wykuszowe okna tzn. lukarny. Ściany frontowe ozdobione były ciekawymi elewacjami, różnorodną sztukaterią.

Po jednej stronie ulicy domy posiadały rozległe podwórza obniżające się ku ulicy Wodnej, z drugiej były nieco niższe i łączyły się poprzez sieć korytarzy, a czasem maleńkiego podwórza, z domami należącymi do ulicy 3 Maja.

Większość budynków przetrwała do dziś, choć ich czasy świetności dawno minęły. Wojtuś zauważył, że zdecydowanie gorzej prezentują się od strony Wodnej.

Spacer rozpoczęliśmy od strony Placu Wolności i domu Zemełki. U zbiegu Wiosny Ludów i Śliskiej znajduje się duża kamienica pod nr 1, która wraz z księgarnią należała do p. Kuli. Tu mieszkała moja szkolna koleżanka Wisia Michalska. Po drodze minęliśmy domy, gdzie kiedyś mieściła się piekarnia p. Janiakowej, do której biegaliśmy po smaczne słodkie bułeczki i pachnący świeży chlebek.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed kamienicą pod nr 5 najładniej dziś wyglądającą, pięknie odnowioną przez aktualnych właścicieli – rodzi-

nie Kujawów. Tu właśnie mieszkałam do roku 1950. Dom wtedy był własnością p. Liskiewicz, która posiadała także aptekę przy ul. 3 Maja. Do mojego domu mogłam wchodzić od ul. 11 Listopada albo od ul. Wodnej. Do naszych mieszkań mieszczących się na wysokim parterze prowadziły od podwórza piękne kamienne schody, pod którymi było zejście do suterenu.

O wygląd podwórza i ogrodu, które były miejscem naszych dziecięcych zabaw, dbał sympatyczny dozorca p. Krzywiński. Również drewniane schody wewnętrzne były solidnie wyszorowane i lśniły czystością. Zresztą wszyscy dbaliśmy o wygląd „naszego domu”.

Między budynkami gospodarzami znajdowała się wędzarnia ryb p. Simińskiego, którego sklep, pachnący świeżymi i wędzonymi rybami, znany był w całym Koninie. W tym samym domu znajdował się mały sklep galanteryjny moich rodziców.

Kolejna okazała kamienica z nr 7 była własnością p. Puchalskiej. Jej sklep z odzieżą, galanterią skórzaną, zabawkami i ozdobami mieścił się na przeczkiwo.

Zakupów mięsa i wędlin dokonywało się nieco dalej u p. Łęckich, natomiast różne produkty spożywcze można było nabyć na końcu ulicy pod nr 19 u p. Opasowej.

Ostatni dom z nr 21 powstał w miejscu, w którym kiedyś znajdował się postój dorozek, m.in. p. Kurtasa, dowożących nas do odległego dworca PKP. W tym domu mieszkał przez wiele lat znany lekarz koniński p. Henryk Winczewski.

Z prawdziwym wzruszeniem opowiadałam Wojtusowi o mieszkańcach mojej ulicy. W tych właśnie wspomnieniach, które mu przekazałam, zakłety jest kawałek mojego dzieciństwa. Pewnie o kimś lub o czymś zapomniałam, ale za powstałe luki w pamięci czuję się odpowiedzialna, bo działo się to tak dawno – prawie 60 lat temu.

Maria Cieślak



A mnie podwórka żal

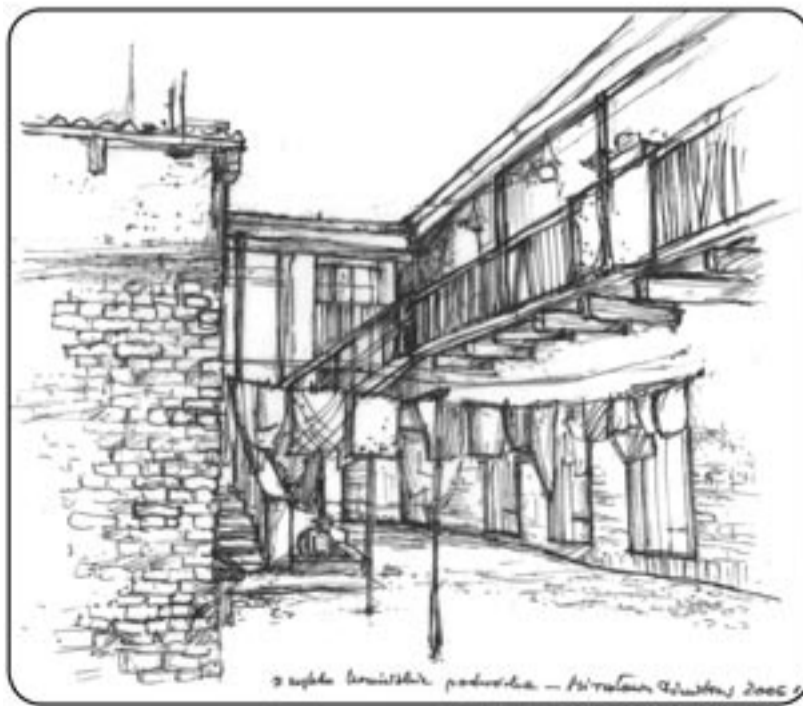
Prezentowane na wystawie „Artyści o Koninie” prace niezującego malarza, Włodzimierza Sznajdra skłoniły mnie do wędrowki po Koninie w poszukiwaniu miejsc utrwalonych na tych rysunkach.

W Starym Koninie bywam dość często, ale poruszam się przeważnie tym samym szlakiem: ul. Wodna, Plac Wolności, Plac Zamkowy. Załatwiając jakieś urzędowe sprawy, nie bardzo mam czas na rozglądanie się.

Tym razem spacerowałam i ogarniał mnie smutek. Konin nawet ten, który ja poznałam, przyjeżdżając tutaj przed wielu laty, odchodzi. Obok odnowionych kolorowych domów, wiele budynków z zamurowanymi oknami, nawet brzozy rosną na dachach. Wiem, że remontowanie bywa droższe od budowania na nowo, poza tym są to przeważnie prywatne budynki, mające niekiedy kilku właścicieli lub spadkobierców itp. To trudny temat, na inne opowiadanie,

a zabieram głos w tej sprawie tylko dlatego, że po ukazaniu się w „Ko-

ninianach” mojego rysunku z portalem willi Reymonda zapytano mnie,



czy nie mam jakiegoś wpływu na to, aby ten dom nie zmarniał do reszty. No cóż, nie mam...

Najbardziej żal podwórek, tych drewnianych galeryjek, balkoników i schodków w różne strony. Malownicze podwórko przy ul. Wodnej okazało się inspiracją dla niejednego artysty na wyżej wspomnianej wystawie, a ja „wypatrzyłam” nowe. Niestety nie wszystkie są dostępne, a to z powodu grożącej zawaleniem kamienicy, albo niezbyt przyjemnego mieszkańca czy właściciela, który nie pozwolił mi zrobić nawet zdjęcia. A szkoda, bo za chwilę to będzie przeszłość i tylko przeszłość, dobrze jeżeli utrwalona na zdjęciu lub rysunku.

Niespodzianką były odwiedziny innego podwórka. Galeryjka, niestety bardzo zniszczona, schodki jak w filmach o

Neapolu, a może Wenecji, jakieś tunelowe przejście i brukowana, pochyla nawierzchnia. Bawiące się tam dzieci pierzchły ze śmiechem, jak stadko wróbli. Była nawet mała piaskownica, a skojarzenie z Neapolem to rozwieszzone, kolorowe pranie. Marne pocieszenie, że nawet w Rzymie jest podobny problem, bo obok np. fontanny di Trevi są piękne, zażytkowe domy prywatnych właścicieli, którzy nie mają pieniędzy na ich odnowę.

A niespodzianka? Gdy wychodziłam z podwórka, zagadnął mnie mężczyzna w średnim wieku, prosząc abym sfotografowała również stojącą kilka metrów dalej kamienicę. Mieszkańcy wyprowadzają się – jego rodzina także, bo budynek wymaga gruntownego remontu. Gdybym miała narysować alegorię smutku, narysowałabym portret tego człowieka.

Mirosława Dimitrow

Aniela Kuznowicz

Droga Redakcjo „Koninianów”!

Już od dłuższego czasu nosiłam się z zamiarem podzielenia z Czytelnikami pewnym wywiadem przeprowadzonym przez moją siostrzenicę jakiś czas temu. Zbliżająca się kolejna rocznica wybuchu II Wojny Światowej zmobilizowała mnie do realizacji tych zamiarów. Ta, dość wstrząsająca rozmowa, odbyła się z nieodżałowanej pamięci, znanym animatorem kultury oraz artystą plastykiem w naszym mieście, Przemkiem Malarzem. Wpływ nie do przecenienia na tę decyzję miała również ostatnia wizyta Ojca Świętego, Benedykta XVI i Jego pobyt w Auschwitz-Birkenau.

Wywiad dotyczył bowiem czasu spędzonego przez Przemka Malarza i jego najbliższych w tym obozie zagłady. Wywiad przesłałam również do Dyrektora i Kustosza Muzeum w Oświęcimiu, gdzie został przyjęty z wielkim zrozumieniem oraz włączony do muzealnego archiwum. Przemek był również świadkiem na procesie norymberskim, gdzie doświadczył szokującego wydarzenia. Podszedł do niego oficer armii amerykańskiej i rzekł: „gdybym wręczył

panu w tej chwili nabyty pistolet, czy strzeliłby pan do hitlerowskiego obozowego kata”? Zaległo długie milczenie – Przemek przypomniał sobie, jak został zmuszony do spalania zwłok swoich zagazowanych rodziców. Pokręcił przecząco głową, choć żałość i gniew rozrywały mu pierś. I wtedy zrozumiałam słowa Papieża „Boże, gdzie byłeś wówczas”?

Aby lepiej zrozumieć przeżycia Przemka Malarza, przedstawię je w ujęciu chronologicznym. W chwili wybuchu wojny miał 17 lat. Był harcmistrzem i został wcielony z całą drużyną do służby pomocniczej w 58 PP Poznań. Kampania wrześniowa trwała krótko. Przemek ranny, dostaje się do niewoli. Podobny los spotyka jego ojca, wyższego oficera. Obu udaje się na szczęście uciec z niej. Zostają przesiedleni z pozostałą rodziną do Siedlec. Włączają się oczywiście do ruchu oporu, działają w AK. W lipcu 1942 r. zostają aresztowani. Długotrwałe śledztwo, katorżnia na Pawiaku, a następnie Oświęcim. Cała rodzina ginie w komorze gazowej, o czym wspominałam, opisując trage-

dię Przemka. W 1943 zostaje przeniesiony do Gross-Rosen, potem dalej do Sachsenhausen-Orienenburg i praca w fabryce broni „Demag”. Przed „ostatecznym rozwiązaniem” ratuje nieodbitków błyskawiczna akcja Amerykanów. To był cud, że ocalałam, wciąż powtarzał Przemek Malarz. Jednakże do normalnego zdrowia nie powrócił już nigdy. Zmarł 16.04.1980 r. Na zakończenie tej smutnej opowieści o niezwykłym zwykłym człowieku, przytoczę list od Dyrektora z Muzeum w Oświęcimiu:

„Niniejszym mam zaszczyt potwierdzić odbiór Pani pisma z 29 maja 2006 roku i jak najserdeczniej podziękować za przesłanie wraz z nim zapisu wywiadu z Panem Przemkiem Malarzem, byłym więźniem KL Auschwitz. Materiał otrzymany od Pani stanowić będzie cenne uzupełnienie naszej wiedzy o losach polskich więźniów KL Auschwitz. Rękopis zostanie włączony do zbiorów naszego archiwum muzealnego i będzie wykorzystywany w celach naukowych oraz edukacyjnych.

Raz jeszcze uprzejmie dziękuję za Pani życzliwość.
Państwowe Muzeum
Auschwitz-Birkenau
W O ś w i ę c i m i u

W nieco innej tonacji list p. Ryszarda Wiatrowskiego, koninianina, aktualnie zamieszkującego w Żarach. Redakcji sprawia wielką radość, że opisywane przez nią zdarzenia, miejsca i ludzie z minionych, przeszłych czasów ożywiają wspomnienia żyjących. Najlepszym tego dowodem jest właśnie list pana Ryszarda Wiatrowskiego. (skrót pochodzi od redakcji).

Redakcja „Koninianów”

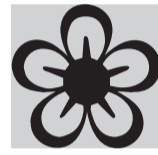
Przypadkowo od rodziny z Konina otrzymałem egzemplarz (nr 5) wazszego miesięcznika, gdzie wśród różnych materiałów znajdują się zdjęcia z budowy Gimnazjum przy ul. Mickiewicza. Budował je również mój stryj Waław Wiatrowski. (...) Fara w której zostałem ochrzczony, przystępowałem do komunii i wreszcie wziąłem ślub. (...) Urodziłem się przy ul. Wodnej 28 i tam właśnie zaprzyjaźniłem się z J. Lewandowskim zamieszkałym obecnie w Szwecji, pisujemy listy do siebie do dziś. Chętnie nawiązałem kontakt z p. Andrzejem Mosiem, autorem filmu „Moja Atlantyda”. (...) Zauważyłem również na zdjęciu orkiestry dętej na tle ratusza, siedzącego po lewej stronie mego

ojca. (...) Przesyłam zdjęcie ojca (Wincentego) kiedy był w orkiestrze wojskowej w Charkowie. (...) Należałem do ZHP, moim drużynowym był Staś Sypniewski. (...) **Chciałbym zapnumerować „Koniniana” – jak to zrobić?**

Oczywiście p. Ryszard Wiatrowski otrzyma wszelkie niezbędne informacje.

StS

PS List oraz honorowa odznaka Towarzystwa Przyjaciół Konina (za pamięć o swoich korzeniach) w drodze. Przykro nam, że nie możemy pokazać zdjęcia pana ojca w carskim mundurze, ale zawiniła jakoś re-produkcji.



*Dziękujemy za listy
oraz prosimy o więcej*



Chleb

Ilekoć odwiedzam jeszcze niezabudowane tereny wokół „starówki” targującą mną dwa sprzeczne ze sobą uczucia. Pierwsze – radość i dumą z rozrastania się miasta. Drugie – bardziej sentymentalne – to tęsknota za „dawnymi” polami pełnymi zboża, sadami obfitującymi w jabłonie i grusze oraz łąkami pachnącymi trawą i kwieciami. W okresie košby dołączyła trzecia rozterka – przeraźliwa cisza panująca na polach.

Gdy na niwach wokół miasta stało gwarno i rójno Konin był jeszcze

małym miastem, do jego bram dopiero pukał wielki przemysł. Znaczna część jego mieszkańców posiadała grunta rolne, dzierżawiła je lub tylko na nich pracowała. Jestem wdzięczny losowi, że dzięki siostrze mojego taty – Antoninie, oraz jej mężowi Stanisławowi Rybczyńskiemu mogłem poznać nie tylko trud pracy rolnika, ale przede wszystkim pieczołowitość w przechowywaniu wszelkich tradycji.

Pozostawmy w tle wszelkie zażyłości „techniczne” związane ze zniwami, ponieważ na miedzy, nieraz za stogiem, odbywało się misterium przygotowywania posiłku dla pracujących.

Ciocia z płóciennego worka wy-

ciągała upieczony przez siebie przegromny bochen chleba. Na pieczywie robiła znak krzyża i przystępowała do krojenia. Oczami „słyszałem” pękającą pod naporem noża skórę. Chleb po przejściu ostrza natychmiast leczył swoje „rany” zasklepiając brzegi tak, by nawet najmniejszy okrucieństwo nie upadł na ziemię. Pokrojony raził bielą swojego miąższu. Następnie wyjmowała coś, co jeszcze do wczoraj było mlekiem. Poddane jednostajnym ruchom tłoczka w kierzance najpierw zamieniało się w żółto-białą masę, by uformowane stać się ośleńką masła. Odwijala zawiniątko z lnianych ściereczek, zdejmowała otulające je chrzanowe liście nadające masłu niepowtarzalny zapach – świeżość i przystępowała do smarowania. Następnie wykładała różnego rodzaju pieczone mięsa i kielbasy – te produk-

ty już nie wzbudzały we mnie wielkiego zainteresowania. Podobno oczy dziecka potrafią wyrazić wszystko. Widocznie w moich odbijał się wilczy apetyt na ten „ciociny chleb”, bowiem ta nie czekała, aż powrócą żniwujący i podawała mi niezmiernie długości pajdę chleba. Wbijając ząbki w pieczywo i czując jego lekko kwaśny smak...

Na podarunek bochna „wiejskiego”, a przecież pieczonego w Koninie przy ulicy Leśnej – (Dmowskiego) chleba mogliśmy również liczyć z okazji świąt Bożego Narodzenia, Zmartwychwstania Pańskiego, tudzież imienin taty lub mamy. Przekazywanie „daru” od cioci odbywało się za pomocą umyślnego, w którego rolę wcielali się moi kuzynowie. Do dziś widzę obraz mamy kładącej na najbardziej zaszczytnym miejscu

„to”, czego życzy się młodym małżeństwom mówiąc – Oby wam nigdy w życiu „Go” nie zabrakło...

Mój brat jest osobą potrafiącą w gąszczu przepisów kulinarnych poruszać się w sposób subtelny i perfekcyjny. Niegdyś, – ale już w czasach „zapiekanki”, „kebabów”, „hamburgerów” powiedział: Znajomy kupuje chleb z własnego wypieku... Zresztą sam się przekonasz. Zniknął z pokoju, by pojawić się z talerzem pełnym pokrojonego chleba. Spróbuj – zaproponował. Wziąłem chleb, ugryzłem i żulem powoli pragnąc doszukać się w nim smaku. No i jak... ja wiem... – ciągnął brat dalej, że to nie... W tym momencie zapadła dzwoniąca w uszach cisza, obydwójmy myśleliśmy o chlebie cioci Antoniny.

Włodzisław Kowalczykiewicz



Rondo Ducha Świętego...

Po raz ostatni kościół św. Ducha erygowano w trzeciej ćwierci XVIII w.

Miało to miejsce w czasie, kiedy proboszczem szpitala był ks. Jan Troszczyński, urodzony w Koninie w 1722 r., a poświęcony na kapłaństwo w 1752 r. przez ks. biskupa Józefa Kierskiego, sufragana poznańskiego.

W przechowywanych w miejscowym archiwum państwowym aktach miasta Konina szczęśliwie zachowały się dwa opisy tegoż kościoła. Jeden z 1790 r., a drugi z 1836 r. Dzięki tym dokumentom możemy oczami wyobraźni przenieść się do czasów, kiedy na miejscu współczesnego skrzyżowania stała dość niezwykła budowla.

W tymże 1790 r. ówczesny dziekan koniński, ks. Rayski tak pisał /.../ kościół ten drewniany na fundamentach podmurowanych, w blochy

rżniętą, tarciami zewnątrz obity. Na zachód słońca drzwiami wielkimi, ołtarzem wielkim na wschód, długości trzymający łokci 18, szerokości łokci 12, ołtarzyków 3 mający, okien 6 w tafle mający. W środku tegoż kościoła jest kopia z sygnaturą, z przodu zaś wchodu jest wieża duża na której dzwony 3. Sufit z tarcic heblowany i podłoga, chór mały nowy stolarską robotą, na którym jest pozytyw zdezcelowany o 6 głosach...

Ten niewielki kościółek, o łącznej długości zaledwie ok. 13 m i szerokości niespełna 8 m dzisiaj nazwalibyśmy raczej kaplicą. W istocie była to miniatura świątyni, ale z atrybutami charakterystycznymi dla każdego kościoła. Z nawą główną i prezbiterium, wieżą, a nawet z mikroskopijną zakrystią o rozmiarach ok. 260 cm na 230 cm. Wewnątrz znajdowały się trzy ołtarze. Wielki z obrazem św. Ducha, po prawej zaś stronie boczny ołtarzyk z obrazem św. Katarzyny, po lewej natomiast z obrazem św. Walentego.

Poza tym była ambona i konfesjonał, nawet małe organy o 6 głosach. Nie było jedynie ławek dla wiernych.

Kiedy u schyłku istnienia I Rzeczypospolitej ks. Troszczyński wznosił wyżej opisany kościół, to paradoksalnie trwał już nieodwracalny proces upadku dawnej, średniowiecznej, formy istnienia i funkcjonowania instytucji szpitala. Zachodzące zmiany ekonomiczne, społeczne, a w końcu i polityczne spowodowały, że na przełomie XVIII i XIX w. koniński szpital znalazł się w katastrofalnym stanie.

W 1804 r., za czasów zaboru pruskiego, dom szpitalny i sprawy jego bieżącej administracji przejęły ówczesne władze miejskie. Jednocześnie odseparowano majątek szpitala, składający się z gruntów i ogrodów, od majątku konińskiego probostwa i przystąpiono do porządkowania materialnych podstaw funkcjonowania szpitala. Sam kościół św. Ducha pozostał formalnie w gestii proboszcza tegoż kościoła oraz proboszcza, a za-

razem dziekana konińskiego, rezydującego naówczas w Starym Mieście.

Burzliwe lata wojen napoleońskich i rozpaczliwe próby wybicia się na niepodległość nie sprzyjały ani szpitalowi, ani kościółkowi św. Ducha. W konsekwencji zupełnego zaniedbania w 1820 r. dawny budynek szpitalny uległ zawaleniu, a w niewiele lepszym stanie znajdował się już sam kościółek.

Rozwiązania prawne zaprowadzone po roku 1815, kiedy na mocy traktatu wiedeńskiego powstało niezależne od cara rosyjskiego Królestwo Polskie zwane Kongresowym, ostatecznie przesądziły o przyszłości konińskiego szpitala i losie dawnego szpitalnego kościoła.

Z mocy postanowienia Namiestnika Królestwa z 2 grudnia 1817 r. instytucje szpitalne poddane zostały zwierzchności i nadzorowi władz administracyjnych, realizowanemu przez powołane rady opiekuńcze zakładów dobroczynnych. W konsekwencji oznaczało to również ostateczne odróżnienie szpitali miejskich nadzorowanych przez władze municipalne, od szpitali prowadzonych

i administrowanych przez instytucje wyznaniowe oraz prywatne.

Według tych kryteriów koniński szpital św. Ducha był świecką instytucją municypalną, dla potrzeb której wzniesiono nowy budynek oddany do użytku w 1827 r. Murowany gmach powstał na gruncie należącej do majątku szpitala, w obrębie ówczesnego przedmieścia Warszawskiego i w odległości ok. 200 m od dawnej siedziby. Obecnie wspomniany budynek dawnego szpitala stanowi siedzibę Zespołu Szkół Technicznych i Hutniczych przy ulicy Kolskiej

Kiedy w latach trzydziestych XIX stulecia zaczęto organizować w Królestwie Kongresowym cywilną służbę zdrowia, to dotychczasowe szpitale miejskie, ciągle jeszcze z reguły będące przytułkami, miały zostać przekształcone w zakłady lecznicze w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Tak też stało się w przypadku konińskiego szpitala, który począwszy od roku 1835 był już przede wszystkim zakładem leczniczym kierowanym przez personel lekarski.

Piotr Rybczyński

(cdn.)



Po raz drugi

Trzeciego czerwca tego roku, w sobotni dzień, z Konina do Łądu, Wartą płynęli kajakarze, mieszkańcy naszego grodu i jego okolic. Pierwszy spływ odbył się w roku 2005. Drugi, bardziej liczny, bo uczestniczyły w nim 152 osoby. Za wiosła chwyciły koninianki i koninianie. Dzieci, młodzież i dorośli. Ba! Nawet wiekowi. Myślę o sobie.

Pogoda wioślarzom sprzyjała. Od startu świeciło słońce i tylko czasami przecierało swe promienne oblicze kłębkami białych obłoków. Dziw nad dziwy, bowiem jeszcze dzień wcześniej Wartę i domy konińskie moczyły strugi deszczu. Dzień później było podobnie. Tylko w czasie spływu pogoda była przyjazna wodniakom.

W sam raz, aby w dzielnicy Kurów, na zapleczu amfiteatru nastąpił start do gromadnego płynięcia. Przed spuszczeniem kajaków na wodę wioślarczy pozdrowił Prezydent Miasta pan Kazimierz Pałasz. Wszystkim życzył stopy wody pod kilem i miłych wrażeń.

Spływ był dwuetapowy. Pierw-

szy, o charakterze współzawodnictwa, na odcinku jedenastokilometrowym od Mostu Toruńskiego do Sławiska. Drugi – relaksowy – ze Sławiska do Łądu, długości dwudziestu dwóch kilometrów.

Zgodnie z życzeniem Pana Prezydenta, rzeka była łaskawą i nie chowała swoich nadbrzeżnych wspaniałości. Tablice kilometrowe, pamiętające żeglowność rzeki z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, sygnalizowały czasy dawne i nowe. Kilka przykładów. Na 422,5 kilometrze wytyczającym szlak wodny od Odry, ślady po dawnym ujściu rzeki Powy do Warty. Półtora kilometra dalej patrzeliśmy jak powstaje betonowy pylon mostu pod nową przeprawą. Trochę później mało czytelne ślady średniowiecznego grodziska Kaszuba.

Kolejna tablica wyznaczająca 424,6 km. To dzielnica Konina o nazwie Chorzeń. Patrzymy na kilka nadbrzeżnych budynków dawnej wsi oraz dziesiątki nowych, malowniczo zdobitych wzgórze. I jeszcze jedna ciekawostka, o której mało kto mówi będąc w dzielnicy Chorzeń. Jest nią prom rzeczny. Tak! Tak! W Koninie oprócz mostów mamy też prom.

Płyniemy. Na lewym brzegu rze-

ki ujście skanalizowanej Powy i wieś Rumin (427,5 km), też z promową przeprawą przez rzekę. Jeszcze trzy i pół kilometra i jesteśmy w Sławsku. Wsi wchodzącej niegdyś w skład majątku Cystersów z Łądu. Nosiła ona różne nazwy. Dla przykładu: Roku Pańskiego 1145 występowała jako Zlauscho, w dokumencie z 1291 r. Slausco, a w roku 1521 Szlawsko major i Szlawsko minor. Na wielu mapach okresu późniejszego jako Sławsko. Łacińskie słowa *major* i *minor* wyraźnie świadczą o rozwoju osady. Młodsza część (*minor*) dotyczy okresu rozwoju gospodarki folwarcznej. Stąd w dokumentach z końca XIX w. utrwalił się podział na wieś włościańską i majątek ziemski.

W Sławsku zakończył się etap współzawodnictwa w prędkości płynięcia. Kajaki wyciągnięte na brzeg tuż przy przeprawie promowej. Patrzymy na remontowany dziewiętnastowieczny pałacyk i blaszaną kopułę kościelnej wieży z 1765 roku. Dzielimy się wrażeniami z wodniackiej przygody.

Hasło komandora do spływu. Przed nami odcinek relaksowy. Nadal podziwiamy piękno rzeki przyjaznej dla kajakarzy i wędkarzy. Na lewym brzegu, za wałem przeciwpowodziowym, samotna zagroda. To 447 kilometr szlaku wodnego Warty. Brzegi niskie, zakrzewione, woda płynie

zakolami. Zarośla uniemożliwiają dojrzeć na prawym brzegu rzeki zabudowania Sługocinka. Potem płyniemy pod mostem huczącym od aut pędzących autostradą. Również po prawej stronie zostawiamy niewidoczny z wody Sługocin oraz wieś Ratyń, której za nadbrzeżnymi zaroślami nie widać, ale za to oglądamy prom. To już czwarty na szlaku spływu. Potem na prawym brzegu piaszczyste wydmy o nazwie Ładowy Borek i Rydlowa Góra. Zbliżamy się do Zagórowa, miasta leżącego na lewym brzegu rzeki, na 451 kilometrze. Miasteczka również nie widzimy, bowiem brzegi rzeki są gęsto porośnięte wierzbami, topolami i olchami. Natomiast po prawej stronie meandrującej Warty zza wysokich drzew już ukazują się wieże kościoła klasztorowego w Łądzie. Jeszcze tylko przepłynięcie pod betonowym mostem i koniec spływu w pięknej przystani. Tam też, po krótkim wypoczynku i posiłku (bo takowy był w programie), komandor spływu oraz panowie wiceprezydenci Konina Sybis i Tylak, wyróżniającym się wioślarzem wręczyli upominki i dyplomy uczestnictwa.

Teraz o ludziach, dzięki którym, my koninianie, mogliśmy w czerwcu 2006 roku zaznać przygody wodniackiej na Warcie. Powie to najkrócej zamieszczona w regulaminie uczestnic-

stwa idea spływu: „Zapoznanie uczestników z pięknem Ziemi Konińskiej, a w szczególności z urokami rejonu nadwarciańskiego”.

Spływ odbył się pod patronatem Prezydenta Miasta Konina. Organizatorami byli panowie: Wojciech Morkowski, Andrzej Kantek, Mirosław Pachciarz, Jarosław Derdziński, Andrzej Chmielecki (Komandor Spływu). Każdy z nich zawodowo sprawuje odpowiedzialne stanowiska pracownicze w naszym mieście. Pomagali im dobroczyńcy finansujący niektóre koszty organizacyjne. Wśród nich, kierujący najstarszym w Koninie zakładem, bo założonym w dziewiętnastym wieku, czyli rektyfikacją Inny, to współwłaściciel zespołu sklepów w mieście, globtroter, którego stopy odciskały ślady na wszystkich kontynentach naszego globu, a tak, jak wielu innych, zakochany w Warcie.

Drugi spływ kajakowy Wartą spełnił cele wymienione w regulaminie – przyczynił się do upowszechnienia czynnego wypoczynku na wodzie, nawiązania przyjacielskich kontaktów między wodniakami oraz udowodnienia, że turystyka kajakowa daje dużo wrażeń i satysfakcji.

Zygmunt Kowalczykiewicz
najstarszy uczestnik wyprawy
numer startowy 062



Fabryka Reymonda

zji w 1950 roku z inną dawną fabryką Ludwika Reymonda.

Tak się składa, że w swoich zbiorach o dawnym Koninie posiadam zdjęcie załogi fabryki „Reymonda” i to z roku...

1901, dokładnie sprzed 105 lat, które chciałbym zaprezentować czytelnikom „Koninianów”. Przedstawia ono 77 mężczyzn w różnym wieku – od młodzieńców do panów w sile

wieku, pozujących na tle ściany budynku fabryki (istnieje on do dzisiaj), wszyscy w białych koszulach z podwiązaną muszką. Można domniemywać, że jest to cała załoga fabryki zatrudniona w owym czasie. Rzuca się w oczy tylko brak kobiet. Może ktoś z czytelników rozpozna na tym zdjęciu swoich bliskich? W grę wchodzi co najwyżej dziadek lub jeszcze dalszy wstępny, zważywszy na czas wykonania fotografii.

Prezentowane zdjęcie jest częścią dużego zdjęcia – laurki i jest usytuowane w jego centralnym miejscu, nad nim jest owalne zdjęcie właściciela fabryki z jego pałacykiem (po

prawej) i terenem fabryki (po lewej), po obu bokach na całej szerokości produkowane przez fabrykę maszyny i urządzenia, a na dole dedykacja: Panu Ludwikowi Reymond w dniu

Jego Imienia jako dowód czci i szacunku – składają pracownicy fabryki. Konin 25.08.1901 rok. Wzruszać może fakt, jak wówczas szanowany był pracodawca, krótko mówiąc pryn-



cywał.

PS Oryginalna laurka ma wymiary (z ramą) 87 – 68 cm; jestem gotów zainteresowanym udostępnić ją do wglądu.

Włodzimierz Łasiński

Ważne od 1 września

Włącz telewizor, wyłącz rozum

*Wierz mi albo mi nie wierz!
Jeśli mi uwierzysz, wszystko będzie dobrze...
Jeśli mi nie uwierzysz,
spadnie deszcz...
To wcale nie ja to mówię,
To starzy mędrcy, którzy
opowiedzieli mi tę historię...*

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami (takie to schematyczne, ale cóż) na świat przysłała telewizja - jedno z trzech podstawowych mediów masowych. Od razu zaczęła odgrywać ważną rolę, np. w wyborach powszechnych w 1952 w USA. A potem było już tylko z górki. Począwszy od lat pięćdziesiątych stała się najpotężniejszym medium, o największej sile oddziaływania. Z perspektywy czasu można bez ogródek powiedzieć,

że ma największy wpływ na kształtowanie kultury masowej – to przykład klasycznej i cudownej baśni...

Dziś telewizja do zaferowania ma wiele. Szkoda tylko, że ilość nie idzie w parze z jakością. Bo przemoc i agresja widoczne na telewizyjnych ekranach dopada nas też w rzeczywistości. Coraz częściej zdarza się, że dzieci (te najmłodsze i te trochę starsze), obserwując swoich ekranowych bohaterów, utożsamiają się z nimi, naśladują ich zachowanie. I tak np. 17-letni chłopiec pod wpływem filmu Olivera Stone'a „Urodzeni mordercy” zabił swą przyrodnią siostrę i macochę; 6-latek zaś wyskoczył z okna, myśląc, że zatrzyma się metr

nad ziemią tak jak Batman. Te dzieci padły ofiarą telewizyjnego świata – świata, który potrafi zawładnąć świadomością, dezorganizować życie, podporządkować sobie inne priorytety, ale także rozbudzić pragnienia, chęć posiadania, pozostawiając na uboczu wartości ludzkiego trudu i poświęcenia. Dzieci wyciągają z telewizji nauki dla siebie, ale niestety, są one często niewłaściwe. Telewizję



nazywamy „gumą do żucia dla oczu”, co czyni człowieka bezwolnym, pozbawia go fantazji i wyobraźni przez narzucanie własnego sposobu widzenia. Innym określeniem tego medium „jest złodziej czasu”. Ludzie uzależnieni od oglądania telewizji tracą umiejętność prowadzenia rozmowy i własnej subiektywnej oceny przekazywanych faktów, informacji. Przeczytałam ostatnio pewne wyniki badań, które alarmują, że telewizja, a w szczególności nieodpowiednie bajki dla dzieci, niosą ze sobą ogromne zagrożenie dla rozwoju dziecka i jego wyobraźni.

Przytoczone fakty jasno dowodzą, że włączając telewizor stajemy się jakby zwolnieni od myślenia, stąd zwrot w tytule felietonu wyłącz rozum, co nie jest żadną aluzją. Czy teraz mi wierzysz?

J.S.

Irena Szalek

Pasterz

*W ciszy, skupiony,
z ciężarem win niepopelnionych,
jasnym spojrzeniem
ogarniał zebranych.
Przeniknięty cieniem Wielkiego Po-
przednika,
Wstępował na Jego Ojczystą zie-
mię...
co czuł? – o czym myślał
ciepło przyjęty pod pochmurnym nie-
bem.
Przybył z przesłaniem –
„Trwajcie mocni w wierze”
Słowo Boże wznosił wysoko,
o Skalę oparł nadzieję.
Szczupłą sylwetką lekko pochylony,
otwartych serc szukał drogi,
wśród czarnych spuścizn historii,
rozniecał żar – Pokojowi.
Pielgrzymi szlak przeciął
krzyk niemy dramatu obozu,
nad nim świetlisty łuk tęczy,
Boga Przymierze – w przebaczeniu.*

KONINIANA
www.koniniana.netstrefa.com.pl
zdjęcia portretowe: RAD

ADRES REDAKCJI:
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,
tel. 063 243 77 00, 243 77 03
Redaguje zespół
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina
ISSN 0138-0893